

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Tym razem sygnalizuję książki, traktujące również o zjawiskach okołobibliotecznych. Dla jednej z tych książek – autorem jest G. P. Landow – przyjęta przeze mnie skala ocen okazała się niewystarczająca.

HIPERTEKST

W tej skali nie mieści się mianowicie książka [1] na temat hipertekstu (Landow, 2006), będąca światowym bestsellerem i rzeczywiście rewelacyjna [*****]. Liczba 3,0 po tytule ma sygnalizować trzecie wydanie (poprzednie 1992, 1997), ale to nie do końca prawda. Autor mianowicie – profesor filologii angielskiej i historii sztuki Brown University w Providence (Rode Island) – poprawiał ją, uzupełniał, aktualizował i zmieniał sukcesywnie, przez cały czas, tak więc każda z wersji jest w istocie całkiem nowym tekstem. Całość, potężnych rozmiarów, traktuje o głównych problemach hipertekstu, pojmowanego lingwistycznie jako język oraz technologicznie jako hipermedia.

Landow wyspecyfikował cechy hipertekstu jako tworzywa semiotycznego, więc nielinearność wypowiedzi, konstytuowanych jako odrębne bloki (leksje) tekstowe, łączone linkami (mniej lub bardziej dowolnie), ale wobec tego często bez wyraźnego początku lub końca – oraz wymóg interaktywnego odbioru. A także złożoność tego języka: z pisma, obrazów, animacji i dźwięków. Ciekawe natomiast, że nie zasygnalizował (nikt inny też nie) szczególnego charakteru tej złożoności. Inaczej mianowicie, niż w języku kina bądź telewizji – gdzie ma miejsce *s y n k r e t y c z n e*, asymilacyjne złożenie języków składowych (więc już nieodwracalne) – w hipertekście następuje złożenie *h o m o l o g i c z n e*: języki składowe można eliminować, pozostawiając tylko główny, a wypowiedź nadal będzie miała sens.

W retrospektywie autor przypomina, że to Vannevar Bush, tworząc w 1945 r. Memex, wprowadził asocjacyjne konfiguracje treściowe, więc właśnie linki, a samo pojęcie hipertekstu zasugerował Theodor Nelson w 1960 r., nie są to więc całkowite nowości. Poza tym *linkowy* układ treści funkcjonuje w istocie od dawna – w tekstach naukowych w przypisach i w (słownikowych) odesłaniach, a w tekstach literackich: w pomieszanych wątkach narracyjnych i fabularnych, np. w *Ulissiesie*. Nie jest zatem prawdą, że interaktywność i odbiorcza kreacja treści pojawiła się dopiero w hipertekście; natomiast realizuje się teraz inaczej.

Landow sygnalizuje więc ewolucyjną kontynuację: nic nie wzięło się znikąd. Ewolucyjny charakter mogą też mieć elektroniczne remediacje pisemnych tekstów naukowych. Można je mianowicie zdigitalizować wprost, bez zmian, ale to marne rozwiązanie. Można też przenieść je na hipertekst, dopisując jakieś sugestie linków. Ale najlepiej konstruować je od razu na hipertekst, z góry obmyślając konfiguracje linkowe.

W klasycznym rozwiązaniu hipertekstowym tekst bywa niezamknięty, bo można go łączyć z innymi w dowolnym miejscu, za pośrednictwem linków, zamiast więc piśmienniczej linearności, pojawia się wielosekwencyjność. W ten sposób, że pojedyncze treściowe bloki, czyli *l e k s j e*, mogą być łączone w całości większe, więc sekwencje, ale rozmaite, według indywidualnego wyboru. Czyli: teksty mieszają się wzajemnie, stają się dla siebie kontekstami, a manipuluje nimi odbiorca, dlatego nie może być bierny.

To jest inny odbiór, zwłaszcza elektronicznych tekstów literackich (u nas to się nazywa Liternet), gdzie rzeczywiście można rozpocząć i zakończyć odbiór w wybranych przez siebie miejscach. Z drugiej strony: hipertekst nie bardzo nadaje się do opowiadania dłuższych fabuł, dlatego przystaje głównie do krótkich form prozatorskich oraz do poezji, ale także sprawdza się w transmisji gier fabularnych, gdzie fabuła jest szcztąkowa.

Zresztą autor obserwuje tę komunikację okiem mocno krytycznym. Ma bowiem świadomość, że w internecie byle co łatwo przesłania ofertę wartościową, zwłaszcza że wyszukiwarki nie docierają do zasobów głębokich. Z drugiej strony – pojawia się obawa, że ktoś może nad tą komunikacją zapanować (o potędze Googli piszę nieco niżej), a ewentualne tego skutki trudno dziś oszacować. Już teraz wyszukiwarki mogą przecież przechowywać maile, bez wiedzy i zgody korespondentów... Wszystko to jednak nie znaczy, że trzeba z tą komunikacją walczyć.

Landow jest zdania, że jeszcze przez długi czas hiperteksty oraz pismo/druk będą w komunikacji publicznej współistniały. Na pytanie – jak długi – nikt na razie nie potrafi odpowiedzieć. Moim zdaniem, nie należy więc pytać, bo niby dlaczego miałyby to być w ogóle czas skończony.

GOOGLOTEKI

Z tą problematyką koresponduje treść kolejnej książki [2], pod każdym względem bardzo dobrej [*****], a traktującej o sytuacji bibliotek, kiedy oto Google wzięły się za digitalizację zasobów bibliotecznych (*Libraries...*, 2005) oraz za wyspecjalizowane wyszukiwanie. To bowiem nie jest już chałupnicze remediowanie pojedynczych książek przez pojedyncze biblioteki, lecz staranne działanie potężnej korporacji reklamowej. Która – nawiasem mówiąc – swoją kolejną filię właśnie organizuje w Krakowie.

W grudniu 2004 r. Google rozpoczęły digitalizację części zasobów XIX-wiecznych (niechronionych już prawem autorskim) czterech wielkich bibliotek amerykańskich i jednej angielskiej. Są to biblioteki uniwersytetów Harvarda, Stanforda i stanu Michigan oraz biblioteka Bodleya w angielskim Oksfordzie, a także miejska biblioteka publiczna w Nowym Jorku. Program nazwano Google Print.

Od razu powstało pytanie, czy ta *przemysłowa* remediacja zagraża bibliotekom i czy zaangażowanie się (za duże pieniądze) uznanych bibliotek nie jest aby zawodową zdradą. Otóż opinie są podzielone, lecz wszyscy przyznają, że trzeba ten projekt potraktować poważnie i pilnie baczyć, co z tego wyniknie. Ignorowanie to błąd. Lepiej przyjąć, że *j a k a ś* wersja częściowej digitalizacji piśmiennictwa zostanie z czasem zrealizowana.

Głosy mitygujące sygnalizują z kolei, że digitalizuje się tylko niewielką część zasobów i proces potrwa długo. Oraz – że na pewno nie wszystko, co w komunikacji publicznej niezbędne, nadaje się do digitalizacji i do internetu. Poza tym, wyszukiwarki oferują byle co, bez wyboru i nie zawsze darmo, natomiast mają bezdyskusyjną zaletę: robią to szybko i dostarczają wyniki tam, gdzie zamawiający chce, więc także do domu.

Dlatego jest to dla bibliotek wyzwanie. Z którym dadzą sobie radę, jeżeli będą merytorycznie eksperckie, stworzą optymalny system doradztwa (potrzebni są zwłaszcza bibliotekarze dziedzinowi) i zaoferują to, co *n a j l e p s z e* w piśmiennictwie i w sieci, a także – zapewnią bardzo dobre warunki korzystania, przyuczą do tego korzystania i jeszcze zrealizują program ponaduśługowy.

Zwraca się natomiast uwagę na rozbieżność haseł oraz praktyki – nie całkiem wszak na razie rozpoznanej. Digitalizacja 1 książki musi trwać około pół godziny i kosztować 10 dolarów. Wobec tego zeskanowanie wybranych zasobów 21 największych bibliotek – 206 mln jednostek – musiałoby potrwać 12 632 lata i kosztować 20,6 mld. dolarów. Ilość ośrodków digitalizujących można nieco zwiększyć, skracając czas skanowania do (bagatela!!) tysiąca lat, ale koszty na pewno wzrosną. Kto będzie płatnikiem?

Tak czy inaczej, obaw i kontrowersji są całe naręcza: to autentyczna „puszka Pandory”. Dlatego trzeba pilnie obserwować, co się naprawdę dzieje.

Jakby tego było mało, w 2005 r. Google rozpoczęły kolejny program, Google Scholar, polegający na wyszukiwaniu i tworzeniu linków do pełnotekstowych materiałów i baz akademicko-edukacyjnych. A to już wkracza bezpośrednio w dotychczasowy obszar usług bibliotek, nie tylko akademickich i wobec tego wywołuje niepokój. Czy jest to bowiem wsparcie, czy konkurencja? Rozum podpowiada, że cokolwiek to jest, nie zniknie tylko dlatego, że tak zechcemy, wobec tego trzeba nauczyć się wykorzystywać tę ofertę i przejąć ją: adaptować do własnego postępowania.

Znawcy tonują emocje wskazując, że Google (a tym bardziej inne wyszukiwarki) grzebią w *stogu siana*, niefachowo i byle jak, wywlekając – bez internetu głębokiego – byle co, również starocie, bez weryfikacji, za to w olbrzymich ilościach, a użytkownik i tak wykorzystuje 3-4 pierwsze sugestie. Natomiast ich oferta jest wygodna i według niektórych badań, w nauce i edukacji 70% użytkowników zaczyna poszukiwania od Googli, a tylko 30% od bibliotek.

Trzeba więc włączyć ofertę Googli do oferty bibliotecznej, lecz jako wyszukiwanie wstępne i wsparte biblioteczną pomocą. Natomiast wyszukiwanie zaawansowane należy już do wyłącznej kompetencji bibliotek, jakkolwiek powstaje pytanie, kto jest nim zainteresowany, na pewno bowiem nie wszyscy. Tym bardziej zatem potrzebne jest przysposobienie informacyjno-biblioteczne, ale realizowane bezpośrednio w bibliotekach, *na żywo* – w wersji bowiem online jest mało skuteczne.

W sumie opinie bibliotekarzy i bibliologów o projektach Googli są ostrożne i zróżnicowane. Zarzuca się im bylejałość, komercyjne ambicje oraz pazerność na informacje prywatno-osobowe. Mimo wszystko, daje się zauważyć cię zagrożenia, stąd sugestia bacznej obserwacji zdarzeń, wykorzystywania ich do własnych zadań – i zgodna opinia, że warsztaty biblioteczne wymagają modyfikacji, aby tym zagrożeniom dać odpór.

Jest w tej – ogólnie: bardzo rozumnej – książce pewna zaskakująca śmiesznota. Otóż jeden z kanadyjskich autorów, przywołując z internetu anglojęzyczny tekst polski, określił też jego autorstwo. Mianowicie: J. Poland. Hm.

SACRUM?

Książka (Maxwell, 2006), którą z kolei [3] chcę zasygnalizować, w pierwszej chwili wprawiła mnie w osłupienie. Autorka mianowicie, bibliotekarka Kolegium Katolickiego w Miami, wzięła się za opis bibliotekarstwa w kategoriach... sacrum. Tego to chyba jeszcze nie było! Lecz znajomość rzeczy i duża wiedza oraz niebywała sprawność pisarska sprawiły, że to jest bardzo frapujący tekst [****], więc już mniej ważne, czy te sakralia to jedynie metafora, czy jednak autentyczny punkt widzenia.

Osią ewentualnej metaforyki są porównania. Biblioteka ma być miejscem *uświęconym*, bo zaspokaja potrzeby duchowe, a bibliotekarze, jak ministranci, wypełniają misję, bo służą ludziom. Można rzec, że jest świecką (*secular*) instytucją *religijną*, pomaga bowiem każdemu w wyszukiwaniu własnej drogi – przez informację oraz intelektualną inspirację. Zresztą wytwarzanie informacji ma w sobie coś z magii, zatem i z religii, a reguły Ranganathana przypominają dekalog. To są zestawienia zapewne błyskotliwe, ale mnie akurat trochę irytują.

Bibliotekarze mają dobre serca (!?) i jasne umysły oraz są wolni od nastawienia na dobre zarobki – powiada autorka. Nie dodając jednak, że to głównie z *łaski* organizatorów bibliotek, a nie z własnej woli. Ale żeby nie było tak rajsko, uzupełnia charakterystykę uwagą, że biblioteki obracają też książkami kradzionymi oraz nie szanują autorskich praw. A fe!

Według Maxwell, komunikacyjna podaż, zwłaszcza internetowa, to chaos, a ludzie boją się chaosu, powinni więc szanować bibliotekarzy, którzy – nie bez

trudności – próbują ten chaos opanować. Symbolem porządku jest drzewo: i otóż w bibliotekarstwie tym drzewem jest klasyfikacja. Dobrze powiedziane.

Biblioteki utrwalają pamięć zbiorowości, nagromadzoną w zasobach – zorganizowanych i rozpowszechnianych przez te biblioteki właśnie. Elektronika natomiast służy organizacji dostępu. Pada więc pytanie: czy jedno i drugie daje się produktywnie połączyć. Otóż (moim zdaniem) praktyka dowodzi, że tak.

A oto główne – zdaniem autorki – pożytki z bibliotek, pod kategorycznym warunkiem, że nie mogą być odpłatne. No więc, obok dostarczania informacji, również intelektualne wsparcie: inspirują intelektualny bunt, katalizując w ten sposób społeczne zmiany, co prowadzi do mentalnego wyzwolenia. Oraz są również formą azylu. Co racja, to racja, ale nie należy zapominać jeszcze o rozrywce.

Biblioteka jest również *m i e j s c e m* publicznym, ogólnodostępną przestrzenią, jakkolwiek w tej roli – powiada Maxwell – przejawia się swoista schizofrenia. Publiczność bowiem jest tam razem, a jednak osobno, pospołu i obok, jak nigdzie indziej, ale i w tej formie pozwala wyrwać się z izolacji. To jej dodatkowa wartość.

Także dlatego, że jest instytucją środowiskową, wspólnotową: ośrodkiem spotkań, dyskusji, uczestnictwa w formach zbiorowych i zespołowych. Miejsc takich jest mało, więc wymagają szczególnej ochrony.

Doniosłych wartości doszukuje się autorka poza tym w bibliotekarstwie dla dzieci – wyspecjalizowane biblioteki, oddziały, a co najmniej wyodrębnione segmenty bibliotek, powinny być wszędzie. To bowiem tam generują się pierwsze przejawy prawdziwej dziecięcej samodzielności. Z tym, że mowa o bibliotekach dla dzieci – a nie dziecięcych – które muszą być w pełni nowoczesne i oczywiście łączyć ofertę piśmienniczą i elektroniczną.

Maxwell jest zdania, że biblioteki przetrwają, bowiem tylko one przechowują intelektualny dorobek minionych pokoleń oraz porządkują chaotyczną podaż komunikacyjną i transmitują *b e z p ł a t n i e* – do wszystkich. W takiej formie i w takiej skali nie robi tego nikt inny. Trzeba jednak koniecznie rozszerzyć bezpośrednio użytkowanie bibliotek jako formę główną: oferta online to jednak tylko dodatek.

KSIĄŻKA DZIŚ I JUTRO

Z tym wszystkim koresponduje tematyka książki [4], rozważającej perspektywy książki i druku w kontekście rozwoju komunikacji elektronicznej (*The future*, 2006). Edycję firmuje Uniwersytet w Oksfordzie i jest tam kilka tekstów znakomitych, lecz większość – jak w postkonferencyjnych tomach często – jednak rozczarowuje, przez nadmiar banałów i opinii bezzasadnych. Dlatego całość oceniam jako przeciętną [***].

W podtekście tego tomu zawiera się pytanie, czy książka (a i biblioteka też) wytrzyma konkurencję mediów elektronicznych oraz czy linearny świat pisma ustąpi miejsca na rzecz nieliniowego świata internetu – który poza tym (jak dopowiedziano) *a k t y w i z u j e* wprowadzie odbiór, ale redukuje społeczne interakcje. Już dzisiaj wielu studentów nie chce wszak czytać czasopism ani podręczników i jeden z autorów, profesor filozofii, sugeruje, żeby to czytanie wymuszać, a nawet *ż a d a ć p o k a z y w a n i a* czytanych tekstów na zajęciach.

A oto inny, dość bulwersujący fakt: w 2006 r. amerykańską nagrodę Blokera zdobyła niby powieść *Julia i Julia* – w istocie postblogowy opis... gotowania 524 potraw, według kulinarnych przepisów. To miał być symboliczny koniec powieści? Mimo wszystko, w większości wypowiedzi zakłada się koegzystencję książki (a właściwie druku) oraz internetu (a właściwie hipertekstu).

Dla lepszej argumentacji, inny autor podjął się redefinicji pojęcia książki wyłącznie poprzez jej funkcje, żeby natomiast nie musiała być drukowana. To

jakaś bzdura! Według tej reguły, dałoby się funkcjonalnie zredefiniować bęsztyk, który nie musiałby być z mięsa, lecz na przykład z maku.

Na razie książek jest coraz więcej, ale wzięcie mają głównie bestsellery. Stąd założenie, że utrzyma się offsetowy druk książek, w nakładach powyżej 3 tys. egzemplarzy, ponieważ w tym trybie można drukować 8 mln stron na godzinę i przy dużych nakładach tego samego tekstu, koszt produkcji jest wyjątkowo niski. Przy nakładach niższych, a zwłaszcza niszowych, zakłada się alternatywnie przechowanie składu w pamięci komputera i druk na żądanie: *print-on-demand* (POD), bo w wydruku digitalnym koszt każdej strony, tej samej lub różnych, jest niezmienny. Wygląda więc na to, że można spodziewać się dalszej egzystencji książek o wyższych nakładach, a obok tego – książek w sieci oraz/lub drukowanych na życzenie.

W ogóle zaś, wprowadzenie elektronizacji do procesu *p r o d u k c j i* książki, przyczynia się do obniżenia kosztów oraz umożliwia eliminację niektórych ogniw tego procesu. Na tym wszak bazuje idea Open Access.

Nowinką jest natomiast możliwość publikowania książek w internecie własnym sumptem. Pojawiły się w tym zakresie oferty usług: edytorskich, fotograficznych, badawczych, a nawet pisarskich oraz tłumackich (są już translacje mechaniczne, ale gorsze niż *ludzkie*), no i dystrybucyjnych. Niektórzy digitalni edytorzy oferują również autorom honoraria za prawo odpłatnego rozpowszechniania ich tekstów.

Spora tekstów w tomie dookreśla obecny stan czytelnictwa w różnych krajach – dobrze oceniając (autorzy akurat nie są bibliotekarzami) biblioteczną promocję książek. A oto wybrane informacje o zasięgu książki – tym najwyższym i tym niższym – czyli odsetki czytających w stosunku do ogółu mieszkańców w niektórych krajach.

Izrael 85%	Francja 67%
Szwecja 81%	USA 50%
Finlandia 76%	Belgia 42%
Wielka Brytania 75%	Portugalia 33%
Dania 67%	

W rejestrze zabrakło Islandii, gdzie ten odsetek też jest bardzo wysoki. Natomiast nie ma powodu, żeby nadmiernie narzekać na nasze rodzime wskaźniki (ok. 55%). Jakkolwiek przy weryfikacji (to bardzo ciekawe) niektórych umiejętności 15-latków, w zakresie umiejętności czytelniczych polską młodzież sklasyfikowano na 17 miejscu, a w zakresie umiejętności matematycznych – na 19 miejscu w świecie. Daleko, ale nie wiem, czy wskaźniki ekonomiczne plasują nas wyżej, natomiast w rankingu uniwersytetów tylko trzy nasze uczelnie sytuują się z trudem w rejestrze 400 najlepszych uniwersytetów świata. Z kolei, kiedy w USA narzeka się na spadek obiegu literatury *p i ę k n e j* – według badań z 2004 r. (17 tys. respondentów!) czyta ją tam 20% populacji dorosłej – to jednak jest ten obieg intensywniejszy niż u nas.

Jednocześnie angielskie oraz amerykańskie statystyki sygnalizują mniej odwiedzin w bibliotekach oraz mniej tamże prostych pytań informacyjnych, wzrasta natomiast ilość kwerend skomplikowanych. I na tym opiera się dobra dla bibliotek prognoza, jak też na realizowanym przez nie, unikalnym przysposobieniu bibliotecznym oraz – na *b e z p o ś r e d n i c h*, dwustronnych i wielostronnych, relacjach osobowych, których w internecie nie ma.

PO ROZPADZIE

Chciałbym tu zasygnalizować jeszcze jedną książkę [5], ze względu na jej zawartość informacyjną (Igumnowa, 2006), mimo że *wykonawstwo* jest kiepskie [**]. Stylistyka jak w czasach sowieckich, niemożliwe sloganiarstwo i straszne frazesy oraz trudne do zaakceptowania opinie – to na pewno nie są

zalety. Aż dziwne, ponieważ autorka była przez kilka lat członkiem władz IFLA, ale nawyki mentalne bywają silne. Wadą jest też bezdowodowe konkludowanie i bardzo ogólna postawa obserwacyjna: to i owo jednak daje się zauważyć.

W tekście pojawia się stare pojęcie Eurazji, odgrzane po rozpadzie ZSRR w 1991 r., ale wymyślone jeszcze w czasach carskich. Mieścił się w nim i mieści obszar od Bałtyku i Karpat po Ocean Spokojny, a więc większość krajów postsowieckich, ale bez Litwy, Łotwy i Estonii. Nie ulega wątpliwości, że wpływ Rosji na *okołorosyjską* część tego regionu był i jest ogromny, choć nie tak zba wienny – bo wszak kolonialny i postkolonialny – jak autorka i wielu Rosjan uważa. To właśnie ten wpływ spowodował tworzenie bibliotek w krajach ościen nych, ale w sferze intelektualnej wymusił też czytanie dwujęzyczne i to nie w języku angielskim.

Po upadku Związku Sowieckiego rozpoczęła się stopniowa derusyfikacja (z negatywnymi skutkami też), której nie mogło powstrzymać powołanie Wspól noty Niepodległych Państw, ani – w jej ramach – Rady do spraw Kultury (1995). Skutek był taki, że wyraźnie spadła liczba Rosjan, zamieszkujących sąsiednie kraje, natomiast do Rosji napłynęła gigantyczna fala 8 mln reemigrantów. To tylko drobny przykład skali następujących zmian.

Zarówno w samej Rosji, jak i w innych krajach postsowieckich, nastąpił rozpad mocno przedtem scentralizowanego systemu bibliotecznego: nagle wszystko przestało racjonalnie funkcjonować – po rozpadzie struktur wytworzyły się luki. Nie było prawie żadnych środków i głównym zadaniem stała się obrona przed likwidacją, nie zawsze skuteczna. W Rosji zlikwidowano ok. półtora tysiąca bibliotek publicznych i dziś jest ich 48 800.

Trzeba było wycofać zbiory ideologiczne, stanowiące 30% zasobów, a jednocześnie nabytki były przez szereg lat minimalne i przestał istnieć egzemplarz obowiązkowy, przywracany gdzieś dopiero 1997 r. Ustała też wymiana wydawnictw między krajami – rozsyłano tylko książki rosyjskie do pozostałych krajów, bo to wspierała Fundacja Sorosa. Nawiasem mówiąc, to teraz wiadomo, dlaczego ta fundacja nie pomagała w ogóle bibliotekom polskim.

Sławna Biblioteka Państwowa w Moskwie – znana dawniej jako „leninka” – przetrwała głównie dzięki obywatelskiemu wsparciu. Zagroziła jej budowa stacji metra *Borowickaja*, były też próby rozkradania zasobów i jelicynowska milicja nie gwarantowała ochrony, a w końcu mianowano jakiegoś szalonego dyrektora, który głośno deklarował zamiary likwidacyjne. Z kolei innego dyrektora na całą dobę uwięzili w gabinecie grupa osób, żądających wydania im ksiąg chasydzkich. Tak więc czasy były trudne.

Powinności biblioteczej odnowy powierzono bibliotekom narodowym – w tym zwłaszcza obowiązek ochrony oraz promocji zasobów narodowych, elektronicznej, a także otwarcia się na świat. Ale przerastało to i nadal przerasta możliwości, ponieważ językiem *międzynarodowym* ciągle jest tam głównie rosyjski, alfabet rosyjski uniemożliwia kontakty z szerokim światem (wszystko trzeba przekładać lub co najmniej transliterować), oraz jak „kula u nogi” ciągnie się za tym bibliotekarstwem sowiecka klasyfikacja. Miary dramatyzmu dopełnia fakt, że – poza Rosją – zasoby w narodowych językach stanowią nie więcej, niż 8-15% zbiorów poszczególnych bibliotek narodowych! Nasze kłopoty nie były jednak i nie są aż takie.

Tymczasem zaczęły w tych krajach powstawać – już demokratyczne – stowarzyszenia bibliotekarzy oraz: przyjaciół bibliotek (jako organizacje inteligentki). W 1996 r. powołano międzynarodową organizację *Biblioteczne Zgromadzenie Eurazji* dla 11 państw (bez krajów bałtyckich i bez Gruzji) – bardzo ciepło przyjętą przez IFLA – a Igumnowa została na kilka lat główną koordynatorką. Podstawowym zadaniem stało się wypracowanie form współpracy, patronowanie corocznym spotkaniom dyrektorów bibliotek narodowych oraz przygotowanie wytycznych dla zmodernizowania organizacji bibliotek.

Autorka w ocenie jest pełna entuzjazmu, ale efekty są mało klarowne. Postulat sprawniejszej obsługi publiczności wielonarodowej był podobno zgłaszany często, ale w formie... postulatu. Idea międzynarodowego łączenia krajowych systemów informacyjnych doczekała się praktycznych prób tylko w relacji Rosji z Białorusią, co nie wydaje się zbyt miarodajne. Natomiast żądania zakazu wszelkich form cenzury, formułowane przez Zgromadzenie, podobno miały być akceptowane, lecz nie wiadomo przez kogo i w jakiej postaci.

Zgromadzenie przygotowało też schematy koniecznych rozwiązań prawnych, lansując wdrożenie. W rezultacie pojawiły się nowe ustawy o bibliotekach, jakkolwiek nie wszędzie: nie ma ich w Armenii, w Kazachstanie i w Uzbekistanie. Natomiast z ustawą o egzemplarzu obowiązkowym w większości tych krajów nie można się przebić.

Ale można zawierzyć autorce, że Zgromadzenie wykonało sporo dobrej roboty, przyczyniając się do poprawy stanu bibliotekarstwa w zrzeszonych krajach. Natomiast – ku jej rozczarowaniu – integracja międzybiblioteczna nie nastąpiła. Myślę, że nietrudno zgadnąć, dlaczego. W tej części świata już nawet sam termin ma dwuznaczny sens.

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytet Jagielloński

KSIAŻKI OMÓWIONE

- [1] George P. Landow (2006): *Hypertext 3.0. Critical theory and new media in an era of globalization*. Ed. 3. Baltimore: The Johns Hopkins University Press, 436 s. ISBN 0-8018-825 [*****].
- [2] *Libraries and Google* (2005). Ed. William Miller, Rita M. Pellen. Binghamton: The Haworth Information Press, 240 s. ISBN 13: 978-0-7890-3125-9 [*****].
- [3] Nancy Kalikow Maxwell (2006): *Sacred stacks. The higher purpose of libraries and librarianship*. Chicago: American Library Association, 156 s. ISBN 0-8389-0917-5 [****].
- [4] *The future of the book in the digital age* (2006). Ed. Bill Cope, Angus Phillips. Oxford: Chandos Publishing, 226 s. ISBN 978-1-84334-241-0 [***].
- [5] Natalia P. Igumnowa (2006): *Jewrazijskoje bibliotiecznoje prostranstwo: kontury, problemy, perspektiwy*. Moskwa: Paszkow Dom, 350 s. ISBN 5-7510-0351-9 [**].

Tekst wpłynął do redakcji 1 marca 2007 r.